

Sted na Ogródkowej

Moje kontakty z Edwardem Stachurą zaczęły się w Lublinie, latem 1958 roku. Pracowałem jako reporter miejski w redakcji „Sztandaru Ludu”, organie KW PZPR. Kolumna miejska trzymała całą gazetę, dosyć drętwą. Pewnego dnia, kiedy zastanawialiśmy się, co ma być gwoździem tej strony miejskiej, zjawiła się w naszym redakcyjnym pokoju grupa przebierańców. Na żadnym z nich nie pasowało: ani marynarka, ani spodnie, ani obuwie, Powód? Otóż w akademiku męskim przy ulicy Langiewicza pojawił się oszust karciany, ulokował w pawlaczu i codziennie ogrywał mieszkańców Miasteczka Akademickiego. Był bezwzględny do tego stopnia, że gdy partnerzy nie mieli już pieniędzy, a próbowali się odegrać, zastawiali części swojej garderoby. Przebierańcy znali tylko jego pseudonim: Sted.

Z miejsca opisałem tę historię jako Beryl . Tylko jeden raz tak sygnowałem swój tekst. Nie ujawniłem swego nazwiska - oszust mógł się ze mną porachować.

Następnego dnia, gdy tekst ukazał się na stronie miejskiej „Sztandaru Ludu”, do redakcji zawitał bohater przedstawionej opowiadki. Nie wyglądał na oszusta. Ale też i nie budził mojej sympatii. Więcej niż średniego wzrostu, blondyn, raczej ciemny niż jasny, mocno zarośnięty. Miał na sobie bardzo obcisłe dżinsy. Cuchnął papierosami i wódką. Mamrotał, że jest poetą i że został niesłusznie napiętnowany przez jakiegoś Beryla. Prawda wedle jego bardzo szarpanej, dosyć nieskładnej relacji przedstawiała się zgoła inaczej. To, co zgadzało się w moim tekście, to jego pseudonim: Sted. Nie jest żadnym oszustem. Po prostu idzie mu karta w pokera. I wygrywa. Ale to co zdobędzie w trakcie karcianych seansów, potem topi podczas spotkań szachowych. Buty, marynarki spodnie zastawione przez studentów rozdaje bezdomnym i biednym. Beryl powinien go opisać jako dobroczyńcę.

Przerwałem monolog Steda, pytając, czy gdzieś na stałe pracuje. Zaczął coś przebąkiwać o swoich studiach na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Nie mogłem się zorientować, czy je zaczął czy też przerwał. Zagadnąłem go o powieść Vercorsa „Oranie morza”, gdyż akurat była moją lekturą. Mówił o tej prozie z uniesieniem. W tym czasie dotarły do nas eseje Camusa „Człowiek zbuntowany”, które Sted znał w oryginale znacznie wcześniej. Zadziwił mnie przenikliwością uwag o Sartrze i egzystencjalizmie.

Gdy znów zaczął pomstować na Beryla, że go pozbawił mieszkania w pawlaczu, zaproponowałem, aby zamieszkał razem ze mną na Ogródkowej, maleńkiej ulicy koło stadionu „Lublinianki”. Z miejsca na to przystał. I podkreślił, że w przeciwieństwie do owego Beryla, co mu opinię zaszargał, mam dobre serce.

Ulica Ogródkowa cieszyła się przed wojną - jak fama niosła - międzynarodową sławą. Funkcjonowała tam filia Lwowskiej Szkoły Złodziei Kieszonkowych.

Na Ogródkowej mieszkałem u państwa Gregorczyków. Dziadek Antoni był niewidomym i pracował jako szczotkarz. Dorobił się dwóch parterowych domków w stylu kleconym. Warsztat, komórki, szalet do ogólnego użytku dopełniały reszty. I był ogródek z pachnącą maciejką. W pokoju jednego domku mieszkało nas kilku. Wyciągaliśmy spod łóżka długi materac i na nim przykryty kocem sypiał nasz gość.

Obecność Steda zaaprobowała babcia Gregorczykowa, ale przestrzegła, żebyśmy nic nie mówili o tym dziadkowi. Poeta stawiał się późną nocą, nie zawsze trzeźwy, zwykle głodny i myszkował w spizarce szukając ulubionego smalcu. Wracał z gry w pokera lub w szachy. Jako przeciwnika w królewskiej grze miał arcymistrza Gromka, który golił go niemiłosiernie.

Moje rachuby, że dzięki Stedowi podciągnę się we francuskim spelzły na niczym. Kiedy ja buszowałem po Lublinie jako reporter, on odsypiał na materacu zarwane noce.

Raz na Ogródkowej zaprowadziłem go do wróżki Grzywaczowej, znanej dość szeroko z trafnych przepowiedni. Co mu ona powiedziała? Tego nie wiem.

Po dłuższych namowach Sted zgodził się pójść ze mną do łaźni parowej Łabędzkiego. Patrząc, co robią inni, kazał się chłostać witkami z brzozy po plecach. Gorąc go dusił, domyślałem się, że płuca miał mocno nadwątlone nałogowym paleniem papierosów.

Kiedyś przyszedł na nocleg mocno zawiany. Potykał się o różne sprzęty. Miałem już wstać, aby go wyciszyć, gdy zwałił się na śpiącego w kuchni dziadka Gregorczyka.

Sted musiał się wynieść. Miał tu noclegownię przez półtora miesiąca.

Stachurę przejął w swoje ręce Zygmunt Mikulski, poeta, wielbiciel Gałczyńskiego, szachista grający na poziomie - jak to określał - kandydata na mistrza krajowego. Taki mniej więcej poziom reprezentował też Sted. Obok szachownicy stały zawsze dwa kieliszki z wódką. Na podłodze obok stolika butelka czystej.

Mikulski redagował dodatek tygodniowy „Kultura i Życie” w „Sztandarze Ludu”. Tam zamieszczał utwory Steda, z którym toczył spory na tematy poezji. Stachura drukował wtedy tylko

prozę i to fragmenty „Falując na wietrze”, książki wydanej znacznie później.

Nigdy nie przeszedłem ze Stachurą na „ty”. Jego tryb życia wydał mi się samobójczy, A utwory z okresu pobytu w Lublinie, drażniły mnie swoją manierycznością. Później zachwyciłem się cyklem „Wszystko jest poezja”, drukowanym w „Miesięczniku Literackim”. Jechałem wtedy z Krakowa do Warszawy i spotkaliśmy się na korytarzu pociągu. Przegadaliśmy niemal całą drogę. Rozmowa odsłoniła mi jego wnętrze. Zorientowałem się wówczas, jak bardzo łaknie dobrego słowa. I jest szczęśliwy, kiedy pada pod jego adresem. A przecież byłem tylko reporterem i nie musiał się liczyć z moją opinią w sprawach literackich.